№ 8. Czwartek, dnia 24 Lutego. Rok 1876.

OGNISKO DOMOWE



WARSZAWA dnia 12 (24) Lutego 1876 r.

Wychodzi w każdy Czwartek.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rsr. 6; półrocznie rsr. 3; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 50.
Na Prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 8; kwartalnie rsr. 2.

REDAKCYA przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351. (nowy 11).
Tamże przyjmuje się ogłoszenia.

Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

„Dla czego wicher tak wyje
I z jękiem leci ku niebu?
Czy skargi roznosi czyje?...
Czy pieśń zawodzi pogrzebu?»

Różne są nędze na ziemi:
Sa jedne, co litość budzą
I ma kto płakać nad niemi
I boleść utulić cudzą.

Są inne, jakby przeklęte
Od świata, ludzi i Boga...
Gdzie serca rozpaczą wzdęte
Otacza pustka złowroga.

Nikt się nad niemi nie żali...
Obca im wszelka pociecha...
I przepadają gdzieś w dali
Samotnie, bez łzy, bez echa.

Tylko wiatr niesie ku niebu
Brzemienne klątwą rozpacze,
I wyje pieśni pogrzebu...
W ciemnościach jęczy i płacze.

El...y.

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO.

II.

(Dokończenie.)

Alpy szwajcarskie, które dziś co roku zwiedza tysiące podróżnych, już od dawnych czasów były potrosze badane i studyowane — nasze ledwie teraz dopiero lepiej poznawać poczęto. Już w XVI wieku, naturaliści ciekawi zapędzali się na góry; w XVII pisano dzieła i wydawano przewodniki po łacinie, po niemiecku. Pierwszy co takiego *Bädekera* napisał w języku łacińskim, był niejaki Jakób Wagner. Dał mu tytuł — *Merkurego helweckiego*. Jest w nim i mapka kraju, i widoczki miast znaczniejszych, i wskazanie odległości, ale Wagner obawia się jeszcze prowadzić ludzi na wyżyny, które mu się niedostępnemi wydają... Po Wagnerze drukowano potem wiele, ciekawi coraz głębiej docierali w doliny, coraz wyżej na wierzchołki sięgali. Najśmielsi byli naturaliści, bo tych wiodła miłość nauki, czasem do namiętności dochodząca. W naszej literaturze dawnej, w ogóle obszernych opisów podróży po obcych krajach jest niewiele. Mamy kilka dzienników pobożnych pielgrzymek do ziemi świętej, parę opowiadań w pamiętnikach Paska, Paca i Zawiszy, i jedną, o ile wiem, książeczkę ciekawą, w rodzaju przewodnika po ziemi włoskiej. Jest ona wprawdzie tłómaczeniem, ale zbogaconem znacznie.

Maleńki ten tomik nosi tytuł: *Delicye ziemi włoskiej.* Wydali go, słynni swojego czasu drukarze krakowscy, Szedlowie, w r. 1605. Są w nim i ciekawe i zabawne i dziwne a pocieszne rzeczy, bo Włochy około połowy XVII w. cale inaczej niż dziś wyglądały, a ludzie też do nich jechali z czem innem, patrzyli na nie odmiennie... Nasz przewodnik, jest to człek wprawdzie ciekawy, który, nietylko się «dziwuje ale raduje» jak powiada, wielu rzeczom; — a przedewszystkiem człowiek to pobożny, którego równie chęć nauczenia się, jak pragnienie pomodlenia, prowadzi. Bardzo króciuchno po większej części wspomniane są rzeczy widzenia godne, język czasem dla nas wydaje się dziwaczny, ale, mimo to, «Delicye» czytają się z zajęciem, bo z nich dziwny duch wieje... i mają swój prostoduszny wdzięk osobliwy. Autor najprzód opisuje Wenecyę, od której się zwykle

podróże poczynały — bo ztąd też i do Ziemi świętej najwięcej osób na okręty wsiadało — potem krótko opisuje Ankonę, Ferrarę, Bolonię, Florencyę, Sienę — i przybywa do Rzymu: «daleko słynącego miasta, które głową całego nazywają świata.« — A tu tak naucza czytelnika: «Jak skoro w Rzymie staniesz, pytaj się do Czarnego Niedźwiedzia, albo Miecza, dwóch wygodnych gospód.» — W Rzymie, gdzie się wszystko długo trzyma, nie zaręczylibyśmy, ażeby do dziś dnia i *Orso Nero* i *La Spada* nie przetrwały jako *Albergo antico*, jeżeli nowa stolica Włoch nie wywróciła ich, jak wiele innych dawnych zabytków.

W Rzymie, jako najciekawszą rzecz, ukazuje naprzód podróżnemu przewodnik, zamek św. Anioła, ze wszystkiemi jego osobliwościami, do których się liczyły naówczas tajemnicze *oubliettes*... Dalej, każe się pytać do Belwederu: «a to jest, powiada, pewnej długości ganek, o pięciuset krokach, na końcu którego ganku stoi jedna bardzo kosztowna statua, figurę wyrażająca *Cleopatry*, w pewnej skrzyni, od wyskakujących wód stojąca. Trochę dalej poszedłszy, obaczysz nie małą liczbę skrzyń zamkniętych, w których co najznaczniejsze od kunsztu stoją statuy, jako też w Rzymie znaleźć się mogą, mianowicie osoba, albo figura *Laocoonta*, dziwnie kosztownie wystawiona, nuż *Tiber simulachrum*, nuż figura jednego człeka na wilczycy, *Romulusza* i *Remusza* wyrażająca, nuż *Nili* osoba z marmuru... Jeszcze do tego mnogie osoby inne, wszystkie pięknie wyrażone.»

O kaplicy Sykstyńskiej tak pisze: «Pójdziesz za tim na jedną ogromną salę, gdzie obaczysz jeden wielki ołtarz, z odmalowanym na wierzchu Sądem boskim, od jednego zacnego i sławnego malarza Michała Angelo Florenczyka, któremu do konterfektów wyrażenia, i z kamienia figur i osób rzezania, w kunszcie równego nie znajdowano.»

W opisach Watykanu, kościoła św. Piotra i zakrystyi, są osobliwości dla nas dziś niezrozumiałe, —pozwolimy sobie tylko jedno jeszcze opisanie, zwierciadła w pokojach papiezkich, przytoczyć:

«Z galeriey wyszedłszy, wnidziesz do pierwszego pokoju papiezkiego, gdzie jedno kunsztowne barzo zobaczysz zwierciadło, w którem zdaleka stojąc, obaczysz jeden wielki pałac, albo zamek potężny, a skoro się na dół trochę schylisz, obaczysz w nim osobę naturalną Ojca świętego, właśnie jak przy zwierciedle stojącego, potem gdy już przyjdziesz ku zwierciadłu blizko, zginie osoba owa Ojca świętego, tylko coć będzie twoje własne reprezentowało.»

Mnóstwo tu się znajduje rzeczy, dziś znikłych lub zapomnianych, z dziwnie naiwną wiarą przytoczonych. Tak naprzykład owe pospolite w Wenecyi i w Rzymie otwory, w które składano denuncyacye i ostrzeżenia, autor opisuje w ten sposób: «Na kościele jednym, obaczysz jeden kamień wielki, marmurowy, naksztalt kamienia młyńskiego, okrągły, mający oczy, nos, y twarz szeroką, tych czasów nazwany: *In bocca della verita* (co się wykłada: twarz od prawdy). Onych czasów dawnych byli tej opiniej ludzie, gdy jeden skarżył na drugiego przed sądem o jakie przestępstwo — tedy bieżeli tam, klękali przed tymże kamieniem, gdzie osądzony musiał palce w tamtą włożywszy paszczękę przysięgać, a gdy krzywo przysiągł — *to mu palce ujadło*»!

Takich osobliwości w książczynie jest niemało... Z Rzymu opisanego nader obszernie, prowadzi autor do *Neapolim*, — gdzie jeszcze o Herculanum i Pompei ani słychu nie było, tak jak w Rzymie naówczas o katakumbach nie ma wzmianki, — dalej do Malty, Pizy, Genuy, Medyolanu, Padwy i t. p... Wszędzie autor «gwałt» różnych pięknych rzeczy opisuje, a drzwi spiżowe u św. Piotra, mówi że są «szkaradnie ogromne».

Nie inaczej pewnie wracający starzy pątnicy, wieczorami przy ognisku swoje wędrówki opowiadać musieli.

Wróćmy i my też z tej wycieczki w dawne czasy i kraje dalekie, aby się pocieszyć widokiem jedynej w swoim rodzaju instytucyi dobroczynnej, w tym najokropniejszą nędzą zatrutym Londynie. Przed laty sześcią, amerykanin Peabody, zapisał miastu pół miliona funtów, na zbudowanie mieszkań zdrowych dla niezamożnych rzemieślników. Od tego czasu stanęło już w różnych dzielnicach Londynu, gdzie najwięcej jest ubogich i fabryk, dziesięć ogromnych gmachów, których drobne mieszkania, zdrowe, jasne, czyste, wynajmują się tanio, uczciwym robotnikom, nie mającym więcej tygodniowego dochodu z pracy, nad 25 do 30 szylingów.

W domach tych są wszystkie wygody potrzebne, aż do kąpieli bezpłatnych; zamieszkujący naturalnie obowiązują się do pewnych warunków porządku i czystości, ale takich, które ich swobody osobistej nie tamują. Jest to nieocenione dobrodziejstwo, gdyż wystawić sobie trudno, w jakich jamach i przepaściach nędza londyńska tulić się musi. Instytucyą Peabody, utrzymana z ładem i oszczędnością, przynosi dochody, które będą w przyszłości obracane na wznoszenie dla wyrobników nowych takich domów, z których każdy może w sobie tysiąc osób pomieścić.

Ktoby chciał bliżej poznać fizyognomią Londynu i tych, między innemi, dzielnic, które najstraszniejsza nędza zamieszkiwać musi, — może się im przypatrzyć w nadzwyczaj artystycznie illustrowanem dziele przez Gustawa Doré, które Hachette wydał świeżo w Paryżu. Doré, znany już z tylu fantazyjnych rysunków, w Londynie tym daje nam poznać nową stronę swojego talentu, chwycenie życia z prawdą niezmierną, i upoetyzowanie genialne rzeczywistości. O ile wiemy, jest to drugie dzieło Doré'go, do którego on staranne studya robił z natury. Pierwszem jest jego don Quichotte, — bo tego mając illustrować, jeździł umyślnie do Hiszpanii. Londyn Doré'go, spodziewamy się, będzie miał wielkie powodzenie. Rzym, o którym wspominaliśmy wyżej, ze strony malowniczej najlepiej daje poznać także u Hachette, już w trzeciej czy czwartej edycyi ukazujące się dzieło pana Francis Wey, ozdobione wielą i pięknemi rysunkami. Ale Doré w Londynie, poetyczniejszy jest, można powiedzieć, i będąc bardzo prawdziwym, jest razem wielkim artystą, umiejącym własny charakter nadać temu co odwzorowuje.

Jakkolwiek piękny i zajmujący Londyn G. Doré, dalekim jest od tego by nas mógł wtajemniczyć we wszystkie strony stolicy liczącej przeszło trzy miliony mieszkańców i stanowiącej osobny świat, a raczej nie wiem ile różnych światów, najrozmaitszych zajęć i najróżnorodniejszych fizyognomij. Zbiegają się tu ze wszystkich świata krańców interesa, ludzie, myśli i prace, a życie, jak w ogromnem mrowisku, dzień i noc roi się tam i kipi... Po Londynie Paryż, który też ma wiele życia i ruchu, wydaje się prawie małem i niemal cichem miasteczkiem.

W tej chwili nad czem tam najgorliwiej pracują?? nad ogromnem zadaniem, na którego rozwiązanie sili się nauka i przemysł ludzki... Żelazne pancerze okrętów i działa idą na wyprzodki, kto będzie silniejszym.

Anglicy najprzód ulali sobie działo, ważące 830 centnarów, które wyrzuca cylindrowe kule, dziesięcio centnarowe, z taką szybkością, że one wylatując, w początku o pół prędzej idą niż głos w powietrzu... Nabój ich waży dwa centnary. Jednakże pancerzy okrętowych, na półtora łokcia grubych, kule te przedziurawić nie mogą. Wyzwany do walki niemiecki Krupp, skomponował działo nowe, które nie waży więcej nad 575 cen-

tnarów, naboju nie bierze nad 170 funtów prochu, i rzuca kule tylko 10 centnarów i 40 funtów ważące, ale przebija na wylot pancerze nawet dwułokciowej grubości. Młot, który te stalowe olbrzymie kłody obrabia, waży tysiąc centnarów, i spada z wysokości trzech metrów, gdy tymczasem Francuzi wymyślili parą poruszany młot, wagi 12,000 centnarów, spadający z wyżyny pięciu metrów. Na czem się ta walka o mordercze narzędzia skończy? trudno przewidzieć. Chemia teraz pracuje nad prochem i wynalazła nowy, silniejszy od zwyczajnego, bardzo wiele obiecujący... Dynamit też, gdy się z nim będą umieli obchodzić, jest nie bez przyszłości, dziecię to wielkich nadziei... i dało w kolebce dowody herkulesowej siły... Postępy szybkie... potęga nauki zastosowanej do praktyki, niezmierna... ale jakże to wszystko smutne i przerażające!!!

Z KRONIKI RODZINY ZIEMIAŃSKIEJ,

SPISAŁ

Kaz. Wł. Wójcicki. (c. d.).

XII.

Tydzień zamierzonego w Zakrzewiu pobytu pułkownikowej z synem i wnuczką prędko upłynął; ale gdy wybierała się z powrotem, młode gospodarstwo tyle serdecznemi prośbami wyjednało, że odłożyła swój wyjazd na dłużej. Kapitan ani pomyślał o stawianiu oporu, zastrzegł sobie tylko, że od czasu do czasu będzie dojeżdżał do swego gospodarstwa, aby siewów jarych dopilnować. W parę dni zatem wyjechał do Wólki-Słomianej, i Adam w tymże celu do swojej Łomnicy: ale ten wyjechawszy równo ze świtem, już wracał przed wieczorem, kiedy pan Paweł dopiero na trzeci dzień przybył, wiozący z sobą listy do matki i Bazylego, otrzymane z Warszawy od państwa Bonifacych.

Pani Teofila odpisując pułkownikowej, która ją prosiła, aby Ewunię zostawiła przy niej na czas dłuższy, z ochotą na to zezwalała, donosząc zarazem, że dla swej Jadwisi z porady lekarzy wybiera się do Maryenbadu i Teplitz, zkąd zapewne przyjdzie im i do Ostendy zajrzeć, ażeby przepisaną kuracyę ściśle i w całości ukończyć; że w tej trudzącej drodze będzie jej towarzyszył mąż wraz z synem, który już niejednej pięknej a posażnej galicyance głowę zawrócił.

Bonifacy w liście swoim do Bazylego, serdecznie go pozdrawiając, nie taił smutku i zgryzoty swojej że porzucił gospodarkę; pisał że tęskni do niej i pragnąłby chociaż na małym kawałku gospodarować: «wtedy—tak się wyrażał—odżyłbym i na nowo się odrodził».

W tej samej kopercie był list i do córki, z życzeniem ażeby w końcu czerwca przybyła do Warszawy pożegnać matkę i siostrę.

Listy te popsuły nieco humor Bazylemu i Ewuni, ale rozruszał ich niebawem kapitan, który wrócił z domu wesoły, gdyż zastał tam siew grochu i owsa należycie ukończony.

Pułkownikowa z Ewunią i synem dopiero w końcu kwietnia wróciła do domu, gdzie zajęcia gospodarskie i kółko domowe zapełniały im życie. Od czasu do czasu przyjeżdżali Bazylowie, a pan Adam co tydzień bywał gościem w Wólce-Słomianej.

Tymczasem Bonifacy w coraz gorętszych był opałach: wystawne życie jakie prowadził w Warszawie, coraz więcej wysuszało mu kieszeń, a zamierzona podróż do wód zagranicznych, domagała się kosztownych przygotowań. Domowy doktór pani senatorowej, który stał się i u państwa Bonifacych domowym, wtajemniczony w ich zamiary połączenia starszej córki z Edmundem Tarnowskim, na którego powrót niecierpliwie oczekiwano, stanowczo oświadczył się za najrychlejszym do wód wyjazdem.

Zdanie to szanowanego powszechnie eskulapa, było ewangelią dla matki a tem samem i dla pana Bonifacego. Oprócz tych wydatków, potrzeba było posłać Wacławowi do Galicyi parę tysięcy reńskich, na gwałtowne, jak mówiła matka, wydatki, a rzeczywiście na zapłacenie karcianych długów i przejazd do Krakowa, gdzie się z rodzicami miał zjechać.

W końcu czerwca, stosownie do życzenia ojca, przybyła Ewunia z panią Bazylową do Warszawy. Pani Teofila nadzwyczaj ją uprzejmie przyjęła, dziękując za fatygę jaką podjęła dla jej córki.

Obecna temu pani senatorowa, ujrzawszy piękną, młodą i ubraną wedle najświeższej mody małżonkę dziedzica Zakrzewia, nie mogła dobrać słów, dla wyrażenia swej radości z poznania tak dostojnej damy, o której niedawno z taką pogardą mówiła, jako o córce biednego profesorzyny.

Klara pod uczuciem prawdziwego szczęścia jakiem ją Bóg obdarzył, wypiękniała jeszcze, a gdy pani Teofila przemówiła do niej, niby przez zapomnienie, po francuzku, odpowiedziała tak poprawnie i z takim prawdziwie nadsekwańskim akcentem, że matka Ewuni równie jak i pani senatorowa, obiedwie niezbyt mocne w tym języku, zawstydzone, spuściły oczy.

Pan Bonifacy, gdy sam pozostał z córką, nie mógł się dosyć naskarżyć przed nią na swe kłopoty i wydatki.

— I teraz, mówił spoczywając na sofie, gdy Ewunia podała mu antypkę z sułtanem, ot znowu mnie matka wyciąga za granicę, pomiędzy Niemców. Już mnie jeden w fortunie nadszarpnął, kupując Olszewnicę, a teraz do reszty obedrą mnie ze skóry jak świętego Bartłomieja!

Ewunia słowem gorącej miłości i pieszczotą rozpogodziła zasępione oblicze zacnego ojca, który w jej obecności o wszystkich troskach zapominał.

Przemknęły szybko dni pobytu w mieście pani Bazylowej: ostatniego wieczoru zaproszona na herbatę do państwa Bonifacych, znalazła liczne grono gości, a między temi i Edmunda Tarnowskiego, o którym szepnęła jej do ucha pani senatorowa, że to konkurent Jadwisi.

Klara spojrzała nań ciekawie, gdy właśnie rozmawiał z Jadwisią, ale na pierwszy rzut oka wcale się jej nie podobał. To wrażenie zachowała jednakże w sobie, i po sutej kolacyi odjechała, zabrawszy z sobą Ewunię. Pani Teofila rada była temu, bo mogła swobodniej oddać się zabiegom i myśli około połączenia starszej córki, z tak odznaczającym się w wielkim świecie kawalerem.

Nazajutrz rano, gdy Klara ze swą kuzynką siadała do podróżnej karety, ujrzeli oczekującego przy jej drzwiczkach pana sędziego, który przyszedł uściskać i pożegnać ukochane dziecię swoje. Rzewne było to pożegnanie; poczciwy ojciec oddawał swoją dzieweczynkę pod troskliwą opiekę, a błogosławiąc ją odwrócił głowę, aby łez nie pokazać, które zrosiły pomarszczone jego oblicze. W kilka dni później sam z żoną i córką koleją żelazną

wyjechał do Krakowa. Lato po skwarnym lipcu było tego roku niepogodne i chłodne, a ciągłe burze z grzmotami i piorunami, groziły rolnikom co dnia prawie jaką nową klęską. Grady wybijały dojrzewające zboże na niwach, a gromy paliły zabudowania dworskie zarówno jak i chaty wiejskie.

W trzech dworach: u Bazylich, kapitana i Adama, panował niepokój, bo nie było prawie dnia, aby nie słyszeli to o klęskach w sąsiedztwie ze spadłego gradu, to o pożarach w całej okolicy. Z trwogą każdy przy kończących się żniwach zwoził snopy do stodoły, w słusznej obawie, że gdy piorun padnie, zostawi z nich tylko garstkę popiołu.

Pułkownikowa z Ewunią modliła się ciągle w swojej alkowie, panna Kunegunda kadziła dworek cały święconemi ziołami, a jej mała krewniaczka Alinka, gdy straszna burza zahuczała, gdy czarne chmury wśród dnia pomrokę nocną na Boży świat rzuciły, musiała z dzwonkiem *Loretańskim* obiegać w około całe zabudowanie w Wólce-Słomianej, dzwoniąc nieustannie. I nieraz biedne dziewczątko, przemokłe do nitki, wracało drżące od zimna. Był to odwieczny zwyczaj u nas, dawniej w całym kraju, teraz rzadko gdzie zachowywany; a liczni w dawnych wiekach pielgrzymi, wracający z Rzymu i Loretu, dzwonkami poświęconemi zaopatrywali zarówno dwory szlacheckie jak i chaty wieśniacze.

Właśnie kapitan, zgasiwszy ogień na kominku, siedział zadumany, nie paląc nawet fajki, gdy Grzegórz otworzywszy drzwi z trzaskiem stanął na progu i rzekł pomięszany:

— Olszewnica gore!

Kapitan zerwał się co żywo.

— Konia! Sam ze mną, parobcy i fornale!

— Już wszystko stoi w pogotowiu wedle rozkazu! odpowiedział stary wiarus i jednym skokiem siedział na swoim dereszu.

Rozruch powstał w całym dworku, pułkownikowa na drogę przeżegnała syna, który pędził naprzód ze swoim podoficerem, a za nimi na dwóch wozach drabiniastych jechało kilkunastu parobków i fornali z bosakami i toporami.

Kapitan zaledwie stanął na wzgórzu pod figurą przy rozstajnej drodze, już ujrzał płomieniste wybuchy, które się odbijały przerażająco na bałwaniących się czarnych chmurach. Zdziwiło go to, że z tego miejsca ujrzeć mógł już dwór cały w Olszewnicy ze wszystkiemi zabudowaniami; zapomniał, że zasłaniał go dawniej wielki las, który prawie do szczętu wycięty, padł pod ciosami topora obcego przemysłowca.

Zdala, wiatr coraz silniejszy przynosił wrzawę i krzyki ludzi, zarówno jak przerażający ryk bydła, beczenie owiec i rżenie koni które w płomieniach ginęły. Kapitan wytężył wzrok i ujrzał dwór cały wieńcem ognistym do koła otoczony.

I zwróciwszy się do swoich wozów, krzyknął:

— *Sapristi!* na rany Chrystusa Pana, gnajcie co siły, musimy stary dwór ratować, bo tam ojcowie się nasi rodzili. Panie Grzegorzu! w imie Boga za mną! marsz! marsz!

Na tę komendę stary podoficer nacisnął ostrogą deresza, który jak strzała pomknął naprzód. Obaj też pierwsi wpadli na podwórzec Olszewnicy. Jakiż widok! Stodoły, obory, owczarnie i stajnie już objęte płomieniami, nie dopuszczały żadnego ratunku: śpichlerz murowany ale pusty ocalał tylko; od stodół napełnionych zbożem wicher niósł żarzące głownie i płonące snopki na dach gontowy dworu; w kilku już miejscach błysnęły na nim płomyki, gdy kapitan z dzielną przybył pomocą. Zaraz Grzegórz z sześciu parobkami osadzili się na dachu, wyrywając tlejące gonty, gdy drudzy pokryli go mokremi płachtami i ciągle polewali wodą z pobliskiej studni i sadzawki.

Piorun, który uderzył w środkową stodołę, szybko objął całą płomieniem: wnet zatliły się brogi zboża, koniczyny i stogi siana na okólniku stojące, a wiatr roznosząc pożogę, zapalił resztę zabudowań dworskich. Była to południowa godzina, czeladź i domownicy właśnie spożywali obiad, gdy burza tę klęskę przyniosła. Na widok pożaru od pioruna, lud ze wsi nie chciał biedz do ratunku, bo wedle dawnych wyobrażeń, które w całej mocy dotąd istnieją, co Bóg zapali swoim gromem, tego człowiekowi nie godzi się gasić. Mała garstka dworskiej czeladzi zerwała się do obrony, ale bez potrzebnych narzędzi, bez kierownika, radzić sobie nie umiała. Nowy

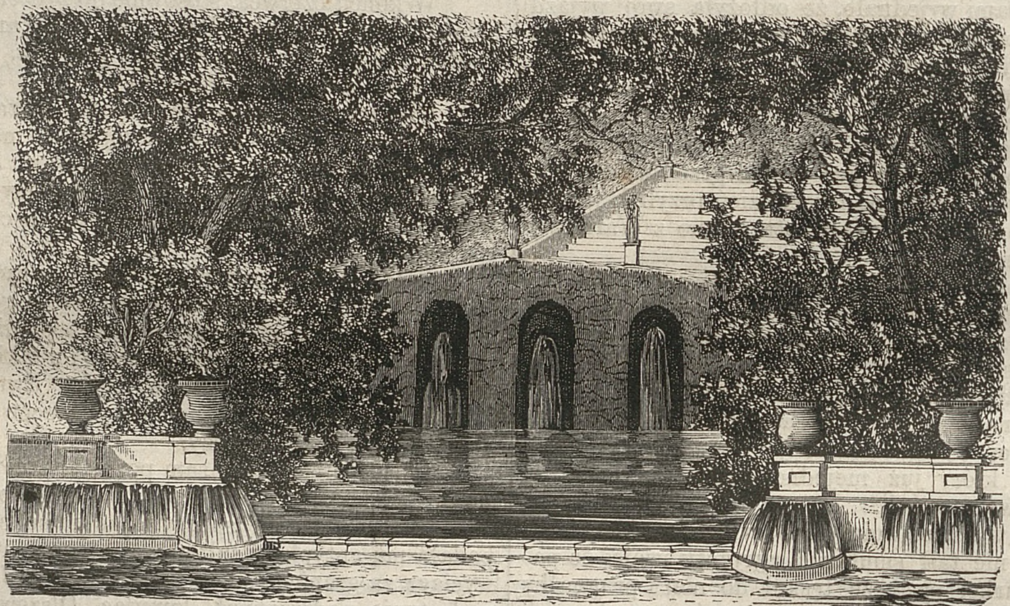


Fig. 17. Willa Panfili.

dziedzic Schüller bawił w Berlinie za sprzedażą drzewa, a jego pełnomocnik, Rudy-Szmul, zajmujący połowę dworu w Olszewnicy, tak z przestrachu stracił głowę, że tylko jęczał i ręce łamał.

Klęska była straszna, bo oprócz dworu i śpichrza nic nie pozostało, tylko zgliszcza z przepalonemi kadłubami bydła, owiec i koni. Powietrze było duszące, dym osiadł mgłą gęstą nad stosami popiołów i głowni.

Kapitan pozostawiwszy dla straży bezpieczeństwa swego wiarusa z kilku parobkami, sam z jednym wozem zawracał, gdy Rudy Szmul zabiegłszy mu drogę, przemówił z niskim pokłonem, zdejmując krymkę.

— Jaśnie wielmożny kapitan czy nie raczy wstąpić choć na chwilkę do dworu, który uratował? Proszę Jaśnie Pana, jest przekąska i gdańska *fein* wódka.

— *Sapristi!* odrzekł chmurny a blady od wzruszenia pan Paweł, dziękuję za waszą gościnność. Jak ja przestąpię te progi, to już tu ani ciebie ani twego pryncypała na rozsadę nie zostanie!

Łuna ze zgliszcz rozżarzonych wśród ciemnej nocy przyświecała w około, daleko.

Wieść o tej klęsce dobiegła szybko do Zakrzewia i Łomnicy: Bazyli z Adamem bezwiednie, prawie razem nadjechali na to smutne pogorzelisko.

Adam z radością niemałą ujrzał, że dwór ocalał, do którego wiązało się wiele najmilszych dla jego serca wspomnień od lat najmłodszych. Tu bywał jeszcze razem z matką swoją, tu najmilsze spędzał chwile wśród wesołej zabawy! Bazyli siedząc na karym arabczyku smutnie w około spoglądał, gdy Rudy-Szmul poznawszy go, zbliżył się, a zdejmując krymkę, zaprosił na chwilowy spoczynek do dworu razem z Adamem.

Trzeba było wytchnąć koniom po milowej z górą drodze, przyjęli więc chcąc nie chcąc zaproszenie żyda. Szmul roztworzył drzwi od dawnej sali państwa Bonifacych, którą teraz nowy dziedzic na kancelaryę swoją obrócił, a gdy odszedł dla przygotowania herbaty i przekąski, Adam szybko obiegł dalsze pokoje.

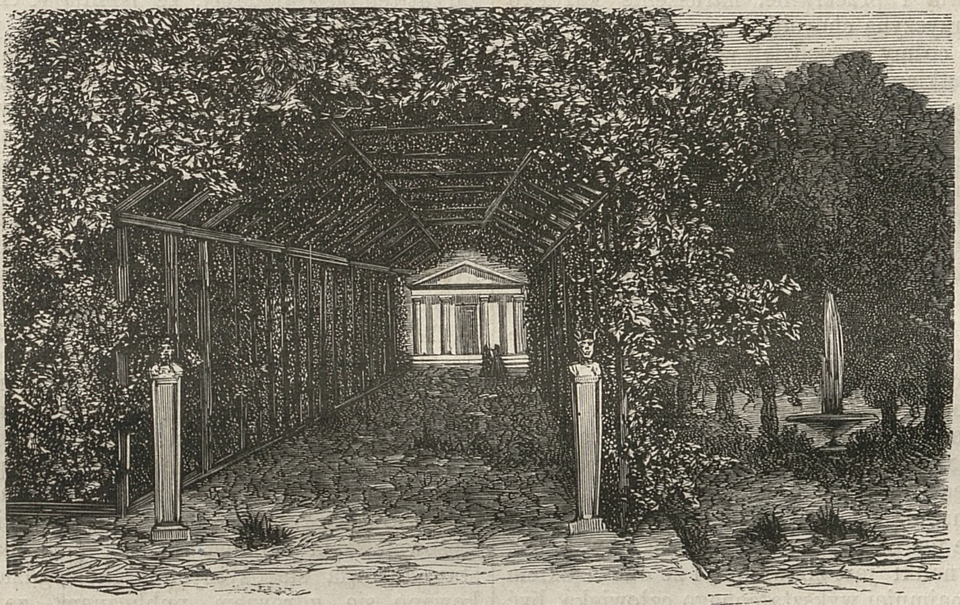


Fig. 18. Willa Albani.

Po tych słowach spiął konia i z pośpiechem opuścił dworzec swoich przodków.

XIII.

Cała okolica Olszewnicy w rękach nowego dziedzica straciła dawne swe oblicze. Krajobraz zmienił się do niepoznania, gdy topór spekulanta niemieckiego powalił pokotem całą rodzinę leśną wielkich a cienistych borów, co tu swobodnie od wieków rosła i mężniała. Odkryła się w ich miejsce pusta ziemia, nasrożona pieńkami, które ślad dawnej puszczy przypominały.

Dwadzieścia włók boru wyciętych, szybko obrobionych i spuszczonych Narwią do Wisły, na jej białych falach spłynęło do Gdańska.

Po strasznym pożarze od pioruna widok stał się jeszcze smutniejszym, bo płomienie spopieliwszy wszystkie zabudowania dworskie, strawiły i stare lipy, topole, wierzby i świerki, między niemi w gęstych kępach stojące. Nagie teraz, zczerniałe, w miejsce zielonych gałęzi sterczały na nich konary.

Piękny ogród przy dworze niemało też ucierpiał, bo wiatr gnał nań całą płomienistą pożogę.

W komnatce niedawno przez Ewunię zajmowanej przystanął i westchnął boleśnie. Jakże ona dawniej pięknie wyglądała, przystrojona z poetycznym wdziękiem przez swoją mieszkankę!

A dziś!... okna powybijane, zalepione brudnym papierem; gdzie stał klęcznik—zsypana kupa owsa, dalej poślady i parę wiązek słomy. Tylko obicie niebieskie, w znacznej części już odarte, przypominało mu skromną siedzibę tej, która stała się celem najgorętszych pragnień jego serca.

Zakrył oczy rękoma, ażeby nie patrzeć na takie zniszczenie miejsc tak drogich dla niego, i zapadł w tak głęboką zadumę, że go dopiero ocucił Bazyli uderzając po ramieniu.

— No! chodź na herbatę mój kochany, rzekł, i uciekajmy co rychlej z tego pustkowia!

Jakoż niedługo żwawym kłusem wracali do domu. Na rozstajnej drodze Adam chciał przyjaciela swego pożegnać, ale Bazyli prosił go do siebie usilnie.

— Odpoczniesz nieco i będziesz miał bliżej do kapitana, a tam u niego skarżą się na pana Adama, że o Wólce-Słomianej zapomniał.

Rudzicki się nie opierał i razem przybyli do dworu w Zakrzewiu, a powitani uprzejmie przez gościnną gosposię, po kolacyi i gawędce przy fajeczkach u Professora udali się na spoczynek, którego, przywykli do rannego wstawania, wszyscy dość wcześnie potrzebowali.

(*C. d. n.*)

NOTATKI LEKARZA DOMOWEGO

przez prof. Drą **Łuczkiewicza.** (dokończeni).

Życie człowieka (i każdego zwierzęcia) jest wynikiem dwóch czynników czyli warunków t. j. *organizacyi ciała i wpływów zewnętrznych* (pokarmy, napoje, ciepło, powietrze etc.). Ciało przyjmuje owe wpływy zewnętrzne i przerabia je własnemi siłami na swój pożytek, w celu zachowania swojego bytu. Rzecz jasna przeto, że stan prawidłowy czyli zdrowie (tak pod względem fizycznym jakoteż psychicznym) zależy: 1) od prawidłowości warunków zewnętrznych (ich ilości i jakości)—i 2) od stosownego zużytkowania ich w organizmie. Każdy z tych dwóch warunków jest równie ważnym i koniecznym do zachowania zdrowia i przeciwnie, naruszenie każdego z nich staje się przyczyną choroby.

Z tego więc cośmy powiedzieli wypada, że hygiena musi przedewszystkiem: 1) rozważyć dokładnie i zrozumieć *organizacyę człowieka*, budowę ciała, organów i określić szczegółowo czynność wszystkich części naszego organizmu, do czego one służą i czego im potrzeba do stosownego spełnienia obowiązków—2) zapoznać się z naturą i przymiotami wszystkich czynników zewnętrznych, bez których organizm utrzymać się nie może—3) ponieważ każdy człowiek jako jednostka, żyje oddzielnem życiem, którego potrzeby układają się rozmaicie względnie do wieku, płci, zatrudnienia, miejscowości, zamożności, temperamentu, nawyknienia i t. p., musi hygiena oznaczyć dla każdego *różnice odpowiednie*, tak co do wpływów zewnętrznych jakoteż co do sposobu odbywania czynności organicznych;—4) nakoniec na zasadzie wymienionych tu wiadomości, określić *prawidła postępowania* dla dopięcia głównego celu, t. j. zachowania zdrowia i przedłużenia życia.

Zdaje się że nie potrzeba być filozofem, aby pojąć, że dążność tej nauki jest zbawienną i że obowiązkiem każdego, nawet najmniej wykształconego człowieka, być winno, przyswoić sobie jak najwięcej wiadomości hygienicznych, chociażby w tym zamiarze egoistycznym, aby samemu sobie oszczędzić cierpień, przykrości, wydatków i odwlec jak najdłużej niemiłą podróż w nieznane kraje pozaświatowe.

Korzyść z nauki hygieny staje się jeszcze wydatniejszą i poniekąd szlachetniejszą, jeżeli zasady jej zwrócimy nie do pojedynczego człowieka, ale zastosujemy je do całej ludności danego miasta, okręgu, prowincyi i kraju, jeżeli pod ustawy jej podciągniemy wszystkie stany i wszystkie ich sprawy, urządzenia, zakłady, szkoły, fabryki, zarząd miast i wsi, etc. etc. jednem słowem wszystko, w czem się obraca życie mieszkańców, a co może sprzyjać lub szkodzić ogólnemu zdrowiu i pomyślności; hygiena w ten sposób pojęta, t. zw. *publiczna* (w połączeniu z pierwszą, *prywatną*) i dobrze, rozumnie przeprowadzona, jest podstawą i najpierwszym warunkiem *dobrobytu, cywilizacyi i szczęścia ludu.*

Zdziwić to może kogoś, że z hygieną i zdrowiem łączymy pojęcia i korzyści moralne człowieka,—a przecież przy bliższem zastanowieniu się sprzeczność ta zniknie zupełnie: wszak tylko zdrowie daje człowiekowi spokój, swobodę, zadowolenie,—tylko u zdrowego rodzi się moc przekonania, energia woli i chęć do pracy,—tylko zdrowy unosi się zapałem szlachetności, żywością wyobraźni, żądzą czynu;—czyż szczęście w jakiemkolwiek znaczeniu może zapanować w rodzinie, chociażby obfitującej w bogactwa i dostojeństwa, jeżeli ktokolwiek z niej ulegnie chorobie? czyż sława, majątek, zaszczyty zdołają zastąpić zdrowie? Nie masz człowieka, którychy nie rozumiał znaczenia i przyjemności zdrowia, a przecież jak mało jest ludzi, którzyby o nie dbali!

Nieświadomi rzeczy zarzucić nam mogą, że pomimo najszczerszej chęci, niepodobna przecież uchronić się od chorób wypadkowych i od takich, które bez żadnych powodów nieznacznie wywiązują się i powoli, chronicznie wlokąc się, nareszcie sprowadzają śmierć. Na zarzut ten odpowiadamy, że pomijając choroby w samej rzeczy przypadkiem sprowadzone (np. po skaleczeniu, zatruciu), jakich stosunkowo bardzo mało się przytrafia, nierównie większa część powstaje z błędów hygienicznych (zaziębienie, zepsucie żołądka, wybryki różnego rodzaju etc.) a reszta przez zarażenie się, np. tyfusem, cholerą, ospą i t. p. Otóż przestrzeganie prawideł hygienicznych odnoszących się do pojedynczego człowieka, chroniąc go od wpływów szkodliwych, złych nawyknień i t. p. uwolni każdego od choroby ztąd powstającej, zaś hygiena publiczna, czuwająca nad powstaniem i szerzeniem się zarazy, potrafi niewątpliwie przy stosownych urządzeniach bardzo znacznie zmniejszyć śmiertelność w epidemiach. Dowody tego twierdzenia są liczne i przekonywające; porównajmy tylko przerażającą śmiertelność na różne zarazy (dżuma, czarna śmierć w XIV w., na które wymierała niekiedy połowa ludności; w samej Anglii wówczas dżuma pochłonęła do pięciu milionów ofiar w przeciągu kilku miesięcy), z najzjadliwszą dzisiaj cholerą, która zabiera zaledwie $1/_{150}$ części ludności, przy stosowniejszem zachowaniu się; porównajmy kwitnący stan zdrowia starożytnych Greków, gdzie bacznie opiekowano się zdrowiem publicznem, ze słabowitością i śmiertelnością mieszkańców Grecyi teraźniejszej. Obecnie umiera 22—25 na sto w skutek chorób zaraźliwych, a nie ulega wątpliwości, że przy lepszych urządzeniach hygienicznych, cyfra ta o połowę zmniejszyćby się mogła.

Bez porównania korzystniejszą jest jeszcze hygiena dla odwrócenia chorób chronicznych, powolnych, które zajmując dotąd większą połowę śmiertelności ogólnej, (na same suchoty umiera w przecięciu 25—35 na sto) są, z małym wyjątkiem, następstwem niehygienicznego postępowania w wychowaniu, pożywieniu, pomieszkaniu i t. d.

Organizacya ciała naszego dozwala żyć człowiekowi 100 lat i dłużej, o czem niezbyt rzadkie świadczą przykłady. Jakiś Hiszpan amerykański miał żyć lat 134, a *Humboldt* donosi o pewnym Peruwiańczyku, który umarł mając lat 143! W ogólności zatem powinni ludzie przy odpowiednich warunkach żyć około 90—100 lat; doniesienia dawniejsze o osobach żyjących znacznie dłużej nad podaną tu liczbę lat (150—200) nie zasługują na wiarę, z historyi bowiem medycyny wiemy dokładnie, że od najdawniejszych czasów pojawiały się zupełnie te same choroby co i dzisiaj, a ztąd dowód że i organizm ludzki w niczem dawniej nie różnił się od dzisiejszego. Tymczasem pomimo tej wytrzymałości organizmu naszego, iluż to ludzi dosięga 100 lat, t. j. wieku w którym

człowiek skutkiem naturalnego zużycia sił,—jak mówimy, ze starości,—umieraćby powinien? Statystyka wykazuje, że na 100 zmarłych zaledwie 3—5 zeszło ze świata w skutek zgrzybiałości; zatem 95—97 umiera przedwcześnie, w skutek chorób, a przeciętna życia wynosi obecnie tylko 35—40 lat. Cóż to za ogromna różnica długowieczności! żyjemy mniejszą połowę czasu od tego, jaki nam zakreśliła Opatrzność; a dlaczego? bo nie pamiętamy o sobie pod względem sanitarnym, bo niedbale marnotrawimy zdrowie i życie. Kiedy w Londynie, pomimo największego w Europie zaludnienia, pomimo tysiąca fabryk i kroci nędzarzy, przy dobrze zrozumianej i wykonywanej służbie zdrowia ogólnego umiera rocznie 1 na 46 mieszkańców, to w tym samym czasie w Wiedniu przypada 1 śmierć na 22, zatem 24 ginie przez niedbalstwo własne lub w skutek lekceważenia zdrowia publicznego przez właściwą władzę.

Znajomość zasad biotycznych nie dozwala nam unieść się absolutnem twierdzeniem, że każdy człowiek powinien dożyć lat zgrzybiałości i że troskliwe przestrzeganie prawideł sanitarnych uwolni go na zawsze od chorób śmiertelnych przypadkowych, ostrych lub chronicznych. Przeciwnie, wiemy aż nadto dobrze, że żyjąc śród najrozmaitszych okoliczności i wpływów, przy różnorodności zatrudnienia i stosunków zamożności, człowiek narażać się musi koniecznie na działanie wpływów szkodliwych, a nawet zabójczych;—wiadomo nam przeto, że choroba stała się, śród takich warunków, prawie nierozłączną od życia;—to wszystko jednak nie wyruguje z nas przekonania, że *ludzie chorują częściej daleko i cięższej aniżeli chorować powinni*, i że w ogólności, skutkiem tych dobrowolnie sprowadzonych sobie chorób, *umierają wcześniej aniżeli powinni*. Rozmówmy się z którymkolwiek z rzadkich dziś szczęśliwców, który dożył np. 90 roku, a dowiemy się, że każdy z nich spędził życie skromnie, umiarkowanie i nigdy prawie *nie chorował*, co dowodzi najlepiej, że właściwie choroby skracają nam życie.

Weźmy znowu na uwagę ten codziennem doświadczeniem stwierdzony fakt, że jest wiele osób słabowitych, wątłych z urodzenia, albo niewyleczalną nawet chorobą (np. piersiową) nawiedzonych, które przecież utrzymują się w dobrym względnie stanie, nierzadko bardzo długo, kiedy w tym czasie tysiące ludzi zupełnie poprzednio zdrowych, skutkiem najrozmaitszych chorób żyć przestało. Jakimże to dzieje się sposobem? co utrzymuje ten wątły organizm? oto poprostu i jedynie tylko to, że ludzie słabowici lub schorzali, tak zwane «skrzypiące koła», bardzo starannie pilnują swojego zdrowia, że troskliwie unikają wszystkiego, cokolwiek im szkodzić może, że się nie przeziębiają, nie niszczą sił przez pijatykę, hulankę, że wyszukują sobie świeżego powietrza, dobrej wody, zdrowych pokarmów etc.;—postawmy tych samych ludzi śród innych warunków hygienicznych, odbierzmy im potrzebne do tego fundusze, wystawmy ich na lada jaki wpływ szkodliwy, a życie ich zgaśnie w paru lub w kilku tygodniach.

Faktów podobnego rodzaju, stwierdzających użyteczność medycyny i hygieny, moglibyśmy podać mnóstwo; poprzestajemy jednak na wymienionych uwagach, w przekonaniu, że one wystarczą dla ludzi wykształconych i o dobro swoje i swej rodziny dbałych; należy się przeto, iżby ludność nasza, zrozumiawszy dokładnie i oceniwszy znaczenie tych nauk, zapragnęła rozpowszechnienia wiadomości lekarskich i hygienicznych w tym stopniu, żeby wedle nich życie sobie urządzić, a raczej niemi w życiu kierować się mogła. Jedna część tego humanitarnego i socyalnego zadania ciąży na lekarzach, którzy przy każdej sposobności powinni zdrowemi uwagami objaśniać ludność w rzeczach sanitarnych, wytępiać zakorzenione przesądy i uprzedzenia, pouczać nieświadomych i wszelkiemi siłami starać się popularyzować naukę dla ogólnego dobra. Wiem naprzód, że zdanie to znajdzie przeciwników pomiędzy kolegami, ale takie jest moje przekonanie, niem się rządziłem dotąd i potrafię go w potrzebie bronić.

Druga część zadania spoczywa na wykształceniu, dobrej woli ludności i zrozumieniu własnej korzyści. Przedewszystkiem potrzeba publiczności podać sposobność obznajomienia się z potrzebami sanitarnemi, a do tego służy wyłącznie nauka Hygieny.

Aby Hygiena przyniosła pożądane skutki, należy naukę jej rozpowszechnić tak, żeby ona stała się dla wszystkich, dla każdego bez wyjątku, przystępną i zrozumiałą. W tym celu Hygiena wykładaną być winna we wszystkich szkołach i zakładach naukowych, męzkich i żeńskich, zatem: w klasycznych, realnych, sztuk pięknych, handlowych, rzemieślniczych, ludowych, w seminaryach duchownych i pedagogicznych;—lekcye o Hygienie powinny odbywać się przy każdej sposobności, czy to za małem wynagrodzeniem, czy też bezpłatnie;—w zakładach fabrycznych i przemysłowych włożyć należy na lekarzy obowiązek popularnego wykładania robotnikom głównych zasad hygienicznych;—mnożące się u nas wydawnictwa, zarzucające publiczność nierzadko niesmacznemi ramotami, mogą je z korzyścią zastąpić pracami treści hygienicznej;—pisma peryodyczne nakoniec powinny także pomieszczać w swych łamach artykuły tego rodzaju, jakto niektóre redakcye od dawna już czynić zwykły.

Szanowni i cierpliwi Czytelnicy! gdyby komu z Was przyszła myśl posądzić mię o przesadę w żądaniu starania około swego zdrowia, albo obawa zbytecznego nawału nudnych artykułów i lekcyj o Hygienie,—raczcie sobie przypomnieć, że my z nałogowego lenistwa naszego tak łatwo poruszyć się do czynu nie damy i zbyt skoro do pracy, dobro ogółu na celu mającej, nakłonić się nie pozwalamy.

Wierni jednak wypowiedzianemu tu przekonaniu, będziemy się starali pomówić z Wami czasem, jeżeli słuchać zechcecie, o rzeczach sanitarnych, licząc na to, że znajdzie się chociaż małe grono osób, które z notatek lekarza domowego, w poczciwej wierze na pożytek ogółu pisanych, korzystać będą.

ISKIERKI Z PARYŻA. (c. d.)

Życzenie swoje młody książe popiera dziecinnemi kaprysami; aby temu zaradzić, ojciec zwołuje lud, dygnitarzy, i w obec wszystkich oddaje koronę synowi, bo sam już jest zmęczony panowaniem. Książe Kaprys nie chce przyjąć korony, bo wielkie upały, więc mu to może zaszkodzić na głowę. Ojciec perswaduje że korona złocona, że dużo kosztuje, ale to nic nie pomaga. Każe się więc zgromadzonym oddalić, a sam z synem i Mikroskopem idzie na naradę do Obserwatoryum; lecz nie puszczają go, pytają czy ma bilet wejścia; — musi nareszcie powiedzieć że jest królem i przy nizkich ukłonach wprowadzają wszystkich do Obserwatoryum, dokładnie naśladowanego z prawdziwego paryzkiego Obserwatoryum. Tu, przynajmniej 30 lunet i te-

leskopów w górę nastawionych, przy 20-tu przynajmniej stoi tyluż astronomów, wszyscy starzy, wszyscy siwi, w popielatych szlafrokach z błękitnemi sznurami, robią swoje spostrzeżenia, chórem ogłaszając co zobaczyli. Król żąda aby wynaleźli sposób dostania się na księżyc. Ale nikt praktycznej rady udzielić nie może; dopiero Mikroskop zagrożony dymisyą obiecuje, że za osiem dni pojadą na księżyc. Jakoż w ogromnej kuźni leją ogromne działo, a gdy wszystko skończone, król zgromadza lud, ogłasza że razem z synem i Mikroskopem jedzie na księżyc i dziwi się, że nigdy nie był taki popularny, jak w chwili gdy to ogłosił. Zabrawszy różne zapasy na drogę, wchodzą wszyscy do armaty i z ogromnym hukiem puszczają się w drogę. Na księżycu popłoch wielki, ludzie księżycowi od dni kilku widzą jakąś czarną plamę która ich bardzo niepokoi. Ale co to za ludzie! Gdyby klasyczna czy tradycyjna wróżka przeniosła nas na jakąś planetę, zapewne pokazałaby rzeczy i istoty daleko estetyczniejsze niż wszechmocne w dziewiętnastym wieku działo! Król Kosmos, jest to olbrzym w białej bluzie sznurem podpasanej, z dziwacznym strojem na głowie, podobny do rzeźnika lub piekarza. Uczony Kaktus, równie duży i otyły, ma na głowie jakąś czapkę z trzema złoconemi promieniami. Wszyscy domyślają się coby to za plama być mogła, i nie przypuszczają aby to byli ludzie z ziemi, bo wedle nich ziemia nie ma powietrza. Nareszcie ziemscy ludzie przybywają, odrazu jest im nudno i pusto na księżycu, równie nie przypuszczają aby tu ludzie być mogli, bo księżyc nie ma powietrza. Ale oto okazują się owi ludzie; wzajemne zdziwienie, wzajemne lekceważenie siebie, które wzmaga się, gdy Vlan oznajmia że jest królem. Na to Kosmos zaczyna dziwacznie skakać, co ma być dowodem jego królewskości. Zniecierpliwiony Vlan zaczyna lepiej i zgrabniej skakać, i po tym dowodzie niezbitym Kosmos uznaje w nim króla; następuje powszechna zgoda i zadowolenie. Król Kosmos i mędrzec Kaktus, pokazują przybyszom ciekawości, między któremi jest genialne dziecko dwunastoletnie, mające z półtrzecia łokcia wysokości, z rudemi długiemi włosami i ogromnym poetyckim talentem. Składa ono Kosmosowi odę pochwalną, która opiewa wszelkie jego wielkości i kończy się tym dwuwierszem:

> Nogi twoje olbrzymie! meszty jak śpiżarnie;
> Możesz w nich wykołysać całą swą dzieciarnię.

Król Vlan podaje Kosmosowi tabakierkę; ten szczyptę zamiast do nosa wkłada do ust i wypluwa ją z obrzydzeniem, ale na urodzajnej księżycowej ziemi wyrasta to w jednej chwili w źdźbło, roślinę, kwiat i cygaro gotowe do palenia. Wtem dają znać, że księżniczka Fantazya zachorowała; sprowadzają doktorów pod strażą; (ci, wedle pierwszej myśli autorów, mieli wjechać na scenę w żelaznych klatkach jako drapieżne zwierzęta, ale złagodzono to, mówiąc tylko że ich z klatek wypuszczono) aby zrobili naradę nad zdrowiem księżniczki.

Książe Kaprys zakochał się w księżniczce Fantazyi, ale ta nie rozumie jego uczuć. Król Kosmos tłómaczy, że na księżycu miłość jest nieznana, że kobiety sprzedają się na targu publicznym i dzielą się na pożyteczne i zbytkowe, tak samo i mężczyzni. Żona króla Kosmosa, pani Popotte, jest kobietą pożyteczną, a księżniczka Fantazya zbytkowną (femme de luxe). Król jest pożyteczny, a uczony Kaktus przedmiotem sztuki. Tryumfalny pochód króla odbywa się na żywym białym wielbłądzie, i ogłasza się targ na kobiety. Tutaj, sztuka budząca dotąd jakie takie zajęcie i śmiech, staje się nudną i rozwlekłą. Król Vlan i książe Kaprys, przebrani za pajaców, wjeżdżają na scenę na rydwanie ciągnionym przez żywego strusia, i licytują kobiety tak, aby księżniczka Fantazya dostała się Kaprysowi, który obudził w niej miłość, dając jej zjeść kawałek jabłka, które dostał z torebki podróżnej i zjadł z głodu na śniadanie, a z rozrzuconych ziarnek rozrosły się po księżycu jabłonie i wszyscy mieszkańcy jedzą je i doznają nieznanego przedtem uczucia miłości. Król Kosmos oburzony tym przewrotem na swojej planecie, skazuje Vlana, Kaprysa i Mikroskopa na ciężkie roboty w wulkanie, bo na księżycu niema kary śmierci, ale trzeba żyć w wulkanie bez jedzenia i napoju.

Po kilku niezabawnych scenach, którym tylko przepych wystawy dodaje uroku, spuszczają ziemskich gości do wulkanu w koszu; król Kosmos im towarzyszy dodając odwagi, przekłada że w wulkanie będzie wygodnie, bo obszernie i sufity wysokie; ale kiedy zamyśla do góry powracać, przekonywa się że ktoś uciął sznury i on musi zostać ze skazanemi. Wtedy uznaje wyższość ludzkoziemskiego rozumu i błaga aby go ztamtąd na powierzchnię księżyca wydobyto. Ale nadaremnie. Wówczas zjawia się księżniczka Fantazya, która z miłości dla Kaprysa sama naprzód spuściła się w głąb wulkanu; nie widząc sposobu wyratowania się, wszyscy oczekują śmierci, aż oto wulkan wybucha i bez szwanku wyrzuca ich na powierzchnię księżyca, okrytą jabłkowemi sadami; mieszkańcy zbierają jabłka w kosze, fartuchy i różne naczynia, jedząc je zapamiętale, co nareszcie naśladuje i król Kosmos i wówczas dopiero czuje, że kocha królowę Popotte. Fantazya łączy się z Kaprysem i na ten czuły epizod wschodzi ziemia, niosąc zaranne brzaski. Kontury Włoch, Sycylii, Korsyki i Turcyi, nie zostawiają wątpliwości jaka to planeta przyświeca księżycowi, i wszystko się kończy prześlicznym obrazem, jednym z tryumfów dekoratorskiej sztuki, na którą coraz bardziej zwracają uwagę i cenią ludzi oddanych temu rodzajowi malarskiego artyzmu.

Może za długi ten opis; ma on na celu wykazanie, że ta operetka mało się różni od takich jak Geneviève de Brabant, Chatte Blanche i innych podobnych dziecińſtw, napisanych jedynie dla uśmieszenia publiczności. Łatwo też można uwierzyć temu co mówił pan La Pommeraye, że jej autorowie długo od teatru do teatru chodzili, zanim dopiero w Gaîté uzyskali przyjęcie dla swojego utworu, bo tam jest właściwe miejsce dla podobnych niedorzeczności, pod względem wystawy bardzo kosztownie obmyślanych. Jednakże autorowie: Vanloo, Letterier i Mortier, ani dyrektor Vinzentini, na tem źle nie wyszli. Koniec powodzenia tej operetki będzie hasłem otwarcia teatru Lirycznego, pod kierownictwem tegoż samego dyrektora, — a Gaîté do innego teatru się przeniesie. Trudno jednak przewidzieć kiedy to nastąpi, bo chociaż po dwa razy na dzień grają «Podróż na księżyc», to zawsze pełno w teatrze.

Taki jednak sposób przedstawienia życia księżycowego pobudził pana Flammariona do konferencyi o prawdziwej podróży na księżyc, na którą także dużo osób się zeszło.

Pan Flammarion jest tak rozmiłowany w świecie gwiaździstym, iż jak powiada, lepiej go zna od ziemi; — i nic dziwnego: przez dziurkę od klucza można cały, choćby największy pokój zobaczyć, a przez wyborne teleskopy można zbliżyć do siebie najodleglejsze planety. Tego zaś co jest blizko nas, okiem ogarnąć nie możemy; z niemałym trudem najmniejszą cząsteczkę ziemi topograficznie poznawać musimy, całości zaś konturów okiem schwycić nam niepodobna. Lecz zapewne owe niby to tak dokładnie znane gwiazdy i planety, inne są zblizka jak zdaleka, i ledwo główne ich kontury takie same zostaną. Wielką zachętą do słuchania wykładów Flammariona są obrazy ruchome, oświecone światłem tlenowodorowem, które po każdej konferencyi ukazują zebranym to, o czem w wykładzie była mowa. Na rozwieszonem za katedrą wielkiem płótnie, odbijają się zapomocą usta-

wionego naprzeciw przyrządu optycznego, wybornie kolोryzowane obrazy i fotografie z księżyca, słońca i innych planet, wszystkie znane od najdawniejszych czasów systemata niebieskie aż do obecnego, analiza spektralna, plamy na słońcu, wszelkie punkta zajęte na kuli ziemskiej przez astronomów podczas badania przejścia Wenery przez słońce i t. d. Co do tego przejścia, wiadomo że dało ono możność ostatecznie obliczyć odległość ziemi od słońca i obdarzyło uczonych niespodzianką, że Wenus ma atmosferę, gdyż przy wejściu jej na słońce zauważano w około niej świetlaną obrączkę, która nie była niczem innem, jak powietrzem, przez które słońce przezierało, choć sama planeta czarno się rysowała na tarczy słonecznej. Pan Flammarion, który wszędzie przypuszcza mieszkańców, tem więcej jest tem ucieszony. Ma on zresztą wiele swoich osobistych przekonań, na które nie każdy zgodzić się może, a niektórzy słuchacze tak się dają ukołysać temi zaświatowemi rozmyślaniami, że wpadają w sen głęboki, który się głośnem chrapaniem objawia i najczęściej śmiech czuwających wywołuje.

Muszę także nadmienić, że na każdym niemal wykładzie lub konferencyi imie Kopernika z czcią i podziwem jest wymawiane. Miałżeby nasz naród na tem jednem wielkiem imieniu w dziedzinie astronomii poprzestać? Żadne inne nasze nazwisko na polu astronomicznem nie jest znane cudzoziemcom, a my sami zaledwie Śniadeckiego zacytować byśmy mogli. Z drobniutkich datków złożone stypendyum Kopernika, do którego, o ile wiemy, nikt z najbogatszych się nie przyczynił, chyba w bardzo homeopatycznej dozie, jest dowodem, że cały naród cieszyłby się, gdyby znowu ziemia jego zasłynęła nowem a wielkiem odkryciem w dziedzinie astronomii, i żeby imie owego nowego geniuszu, zabrzmiało także w salach poświęconych nauce na wszystkich punktach cywilizowanego świata, tak jak teraz brzmi w nich jedno tylko imie Kopernika, zawsze na pierwszem miejscu będące w liczbie geniuszów ludzkości.

Pan Chavée, uczony lingwista, miewa konferencye, w których wykazuje mylność zasad Comte'a i Littré'go. Zdaniem jego nie matematyka ale logika była pierwszą nauką ludzkości i ona stworzyła matematykę. Podobnego zdania ma być uczony Anglik Lewes, którego dzieło teraz Francuzi tłómaczą. Ten pan Lewes był gorliwym wyznawcą Comte'a, Littré'go i Darwina — ale teraz zupełnie zmienił swoje przekonania. Nie opiera wszystkiego na matematyce, ale na logice, która odrazu objawiła się jako dar, wyróżniający człowieka z pomiędzy istot podobnego fizycznego ustroju, ale nie mogących sobie zdać sprawy z niczego. Człowiek, pełnem świadomości użyciem i kierowaniem swoich ruchów i władz umysłowych, stał się panem stworzenia i czuł swój duchowy doskonały początek. Pan Chavée, jako doskonale znający wschodnie i starożytne języki, bardzo zachęca do studyowania sanskrytu, a nawet twierdzi, że należy koniecznie wprowadzić go na równi z greczyzną i łaciną do szkół i zakładów naukowych, gdyż mówi, że sanskrycki język jest początkiem wszystkich języków, a jego odwieczne księgi zawierają pojęcia wyższe i wznioślejsze niż filozofie greckich i rzymskich mędrców, które z indyjskiej wiedzy wzięły swój początek. Pomimo grubego fetyszyzmu i panteizmu w jakie wpadły plemiona Aryjskie — cześć dla boga Agni, była jakby uczczeniem najwyższego, nieznanego bóstwa, czczonego pod postacią krążka z najmiększego drzewa akacyi, mającego w środku walec z drzewa najtwardszego w Indyach, Ficus religiosa, który służył do wykrzesywania i utrzymywania za pomocą tarcia ciągłego ognia, którego ożywcze ciepło i światło o niezrozumiałym dla czcicieli początku, wydało się być wszechmocnem bóstwem. Lecz ta cześć dla owego boga Agni przybrała materyalne znaczenie: złorzeczono mu skoro się za nią nie wypłacał natychmiastowemi darami ziemskiemi w postaci bogatych trzód i innych dostatków. To wyobrażenie o Bogu, który za cześć i miłość powinien płacić bogactwy, przeszła z Indyj do plemion semityckich i innych. Przykrem jest tylko, że pan Chavée, który w mitologii sanskryckiej i innych chce wykazać, że pojęcia o jednym prawdziwym Bogu mniej więcej nigdy nie wygasły i były potrzebą ludzkości, dochodząc do chrystyanizmu, który odrzucił z pojęć religijnych wszystko co materyalne i nieprawe, zaczyna przybierać rolę reformatora i często sam sobie przeczy, zamiast wykazać całą doskonałość boskiej Ewangelii.

(D. n.)

SZKICE
Z DZIEJÓW I ESTETYKI OGRODNICTWA. (c. d.)

Po Wersalu i Marly, najwspanialszem dziełem Le Nôtre'a było niezaprzeczenie Chantilly.

W układzie panował tu może pewien nieład, jaki wypada przypisać nieustannym przeróbkom i dodatkom, które zmieniały w ciągu ośmnastego wieku postać tej królewskiej siedziby. Nieład ten wynikał może z trudności w znalezieniu głównego punktu perspektywy, w obrębie obejmującym trzy pałace od siebie odosobnione. Wytwarzał on zresztą rozmaitość i niespodzianki, będące wybitnemi przymiotami Chantilly.

W miejscowości tej słynęły: oranżerya, galerya wazonów i trzydziestu arkad, Vertugadin, i amfiteatr zielony, wydający się niby płaszczem bogatym osłaniającym wdzięczne kształty wzgórza Vineuil. Dalej, zwracały uwagę: parter wód, w którym kanał tworzył wielką aleję przezroczą, otoczoną dziesięcioma prześlicznemi sadzawkami — wyspa igrzysk z karuzelami i huśtawkami — słynny trawnik, którego murawa gęsta i nizka stanowiła wyborne szranki dla gonitw. Od 1791 roku, nie słychać już o cudach Chantilly. Wody tu było niegdyś podostatkiem, z obfitością ich nie mogła się mierzyć cała okolica. Kanał zasilany przez Nonettę miał 10400 stóp polskich długości, a blizko 278 stóp szerokości.

Wielkie wodospady w Chantilly, winny być zaliczone do cudów hydrauliki, przewyższały one prawie przepych sadzawki Neptuna w Wersalu. W środku okrągłej sadzawki, snop wody w ośmiu wytryskach wzbijał się do góry ze sztucznej skały, i spadał piramidalnie w pośrodku piętnastu mniejszych wodotrysków. W innych sadzawkach, woda tryskała w postaci potworów i smoków nurzających się w zbiorniku wody. Wreszcie, las mający siedm tysięcy morgów przestrzeni, przerznięty szerokiemi alejami, otaczał park Chantilly i tworzył zarazem przepyszny zwierzyniec.

Syn wielkiego Kondeusza, jeden z ludzi najkłótliwszych i najdziwaczniejszych swego rodu, który w chwilowych napadach obłędu mniemał że staje się psem, szczekał i krył się pod meble, jakby to czynił bramin wierzący w metampsychozę, człowiek zresztą pomimo tych niedorzeczności szlachetny, miły i przystępny, był rzeczywistym twórcą cudów w Chantilly. On to polecił wykończyć wielki zamek, otoczony z boków wysokiemi

wieżycami w postaci pięciokątów foremnych, pomysłu Mansarta. On to w małym zamku, w dawnem dziedzictwie Montmorency'ch, pomieścił sale chińskie, komnaty złocone, galerye przystrojone malowidłami, na cześć swojego ojca. Trzy miliony renty, jaką pobierał, wystarczały mu zaledwie na te rujnujące wydatki, ponoszone dla przyozdabiania zamku, — i wspaniałe ugaszczanie królów, którzy go zaszczycali swemi odwiedzinami.

Przy tych zaćmiewających blaskiem wspomnieniach, gaśnie nawet słynne Saint-Cloud, pomimo prześlicznego swego pałacu wodnego i pięknego wodotrysku, wyrzucającego wodę do wysokości prawie 246 stóp pols: z siłą, zdolną wysadzić w powietrze ciężar ważący sto sześćdziesiąt funtów.

Park w Saint-Cloud, wielce rozległy, zajmujący bowiem przestrzeni 1,146 morgów, zalecał się niepospolitą pięknością; był jednak niejako odosobniony od pałacu, gdyż jedyne pomiędzy niemi połączenie, stanowiły wielkie schody odarniowane, wiodące aż do galeryi oszklonej, — co nie stanowiło wcale dostatecznej komunikacyi. Park w Saint-Cloud rozpatrywany oddzielnie, w odosobnieniu od zamku, jest zachwycającem miejscem przechadzki — czy to od strony alei sekwańskiej, czy postępując łamanemi ścieżkami wiodącemi do oszklonej galeryi Demostenesa, czy w alejach przeprowadzonych aż do Ville - d'Avray — wszędzie znajdujemy przepyszną perspektywę i bogatą roślinność.

Część parku od prawej strony obejmowała cieniste aleje, zkąd wzrok dostrzegał jelenie i sarny pomieszczone w zwierzyńcu. Droga żelazna wersalska przerzyna go dziś w całej szerokości. Park ten powiększył Karol X, dołączywszy doń ogród *Trocadero*, zajmujący wyżyny Montretout. Vatout, historyk Saint-Cloud, wymienia rozmaite zmiany, jakim uległ park w różnych epokach czasu. Napróżno byśmy dziś poszukiwali groty zielonej i pomników miernego zresztą dłuta, które tu były ozdobą sadzawek. Niema już wodotrysków *Goulottes*, których szmer wprowadzał w zadumę Karolinę Bawarską — *Trianonu* zastąpionego pawilonem de Breteuil, wiejskiej sadzawki *Wenery*, alei *Portyków*, pawilonu *Szczęśliwości*, wzniesionego przez Maryę Antoninę, i wielu innych czarujących drobiazgów, wysławianych przez poetów i współczesnych pisarzy.

Park jednak przechował swój słynny wodotrysk i wytworne stopnie wielkiego wodospadu, którego wody spływają do wielkiej sadzawki zbudowanej według planu Mansarta. W 1800 roku, park zbogaconym został wierną kopią pomnika Lyzykrata, pomieszczonego przez architekta Fontaine'a, na kwadratowej wieżycy powyżej amfiteatru zielonego.

Meudon posiada ornamentacye i taras dobrze zbudowany — w porównaniu przecież z bogactwem ornamentyki innych ogrodów tu wymienionych, zajmować może tylko drugie miejsce. Park jego, w jednej połowie francuzki, w drugiej angielski, jest po prostu płatem lasu oderwanym od przepysznej okolicy lesistej, otaczającej wsie Meudon i Bellevue. Sceaux, przedstawia nieco poważniej i ponętniej resztki pozostałe z dawnego ogrodu, które dają wyobrażenie o ubiegłej tegoż wspaniałości i doskonałym układzie. Le Nôtre narysował plan jego dla Colbert'a w tymże prawie czasie, gdy kreślił rysunek Wersalu dla Ludwika XIV, to jest w 1670 roku. Rezydencya ta, dwukrotnie zaszczycona pobytem króla, posiadała wszystkie warunki piękności: posągi Pugeta i Girardoña — wody sprowadzone z Plessis Piquet i Aulnay, i miała sześćset morgów rozległości. W 1700 roku, książe Maine zostawszy właścicielem tej posiadłości, upiększył ją jeszcze więcej. Prześliczna ta majętność podzielona na kilka części, sprzedaną ostatecznie została w 1798 roku.

Willa Panfili powstała za czasów Innocentego X, w 1650 roku. Niektóre w jej budownictwie szczegóły, więcej ją zbliżają do włoskiego stylu odrodzenia, niż do francuzkiego. Le Nôtre mógł ją tylko ukończyć; jest to niewątpliwie najpiękniejsza willa rzymska.

Położona na wzgórzu, w odległości jednego kilometra poza bramą św. Pankracego, była w 1849 r. główną kwaterą generała Garibaldi'ego, a następnie wojsk francuzkich. Książę Doria wzniósł tu pomnik Francuzom poległym w czasie oblężenia. Przesadnie opisywano szkody poczynione w tej siedzibie w owym czasie. Piękne, stuletnie dęby, mało co ucierpiały od ognia armatniego i karabinowego.

Z krańcowego tarasu, wzrok dosięga uroczych równin Rzymu — przepyszne zielone dęby, wielkie sosny o gałęziach zwieszonych jak baldachim, ozdabiają jeszcze ten ogród. Niczego w willi Panfili nie brak z tego, co tworzy willę włoską — widzimy tutaj pałac, kasyno, parter, wazony i posągi, wodotryski i organy hydrauliczne. Główną wszakże ozdobę tej miejscowości stanowią jej drzewa cieniste i trawniki. Pewne zaniedbanie w tym ogrodzie się przejawiające, dodaje mu, że tak powiemy, czaru nieokreślonej melancholii. Panuje tu cisza równie uroczysta jak w Wersalu, w obec niej wszakże nie doznajemy smutnych wrażeń, jakie zawsze pozostawiają w duszy okazałe ruiny wieków ubiegłych.

Przez większą część panowania Ludwika XV, następcy Le Nôtre'a postępowali drogą tradycyjnego klasycyzmu wprowadzonego do ogrodów. Styl Le Nôtre'a przeszedł z Francyi do Włoch, gdzie rozpowszechnił się z łatwością, będąc zresztą naturalnym wynikiem stylu odrodzenia, wspólnego obu krajom. Willa kardynała Albaniego, zbudowana według jego własnych planów, poza Rzymem, jest doskonałym wzorem tej symetryi, która wysilała się w siedmnastym wieku na wytwarzanie kształtów symetrycznych. Nie zaprzeczając piękności tej willi, Taine bardzo trafnie określa jej charakter:

«Naturze, powiada on, nie pozostawiono tu żadnej swobody — wszystko w niej jest sztucznem. Wody rozlewają się jedynie w wodotryskach i spadają w postaci pióropuszów od hełmów rycerskich — łożyskiem ich są urny i wazony. Trawniki otoczone potężnemi i spójnemi jak mury płotami bukszpanowemi, przewyższają wzrost człowieka i tworzą sieć symetrycznych trójkątów zbiegających się z sobą. Z frontu rozpościera się gęsta palisada, z jednego szeregu młodych cyprysów. Kwatery kwiatowe otoczone małemi bukszpanami, tworzą figury rysunkowe, — przedstawiają się niby kobierce przetykane różno-kolorowemi roślinami.

Przepyszne dęby korkowe wznoszą na tarasie swe kolosalne pilastry i zieloną kopułę zawsze w liście bogatą. Aleje platanowe przedłużają się w dal, niby portyk olbrzymi. Wzrok błądzi po olbrzymich arkadach tworzących portyk, po balustradzie i posągach — a dalej, po kolumnach rozrzuconych tu i owdzie, po sadzawkach i żywopłotach.»

Niema tu żadnej łączności z przyrodą — żadnego ustępstwa ze strony nowego stylu, który z Anglii przeszedł na ląd stały. Zresztą, znachodzimy tu dwa style, przejawiające się obok siebie, którym nie zbywa na powabie, jak to ma miejsce w rezydencyi królewskiej Caserte, narysowanej przez Vanvitelli'ego i przez tegoż budowanej od 1752 do 1769 roku. Ogród niepospolitej rozległości podzielony jest na dwie części, — pierwsza majestatycznie smutna, będąca niezręcznem naśladownictwem parku wersalskiego Le Nôtre'a, kończy się obszernym kanałem, wodotryskami i obfitym wodospadem, rzucającym się z wysokości wzgórza. Kanał jest tak długi, że potrzeba było postawić dwa mosty, utrzymujące komunikacyę między dwoma brzegami. Poza kana-

łem zaczyna się ogród malowniczy, słynny z olbrzymich dębów korkowych. Nierówność gruntu, rozmaitość planów, świeżość zieloności i wspaniała roślinność tak krajowa jak i egzotyczna, tworzą tu rozkoszne miejsce przechadzki.

Villa Reale w Neapolu, przedstawia też same cechy, w mniej jednak uroczej postaci. Wpośród pięciu alej, akacye, dęby i wierzby płaczące, róże bengalskie, mirty i pomarańcze, tworzą klomby ozdobione wazonami i posągami. Najpiękniejszą częścią ogrodu jest sadzawka granitowa, którą otaczają sfinksy; woda z niej odpływa prześliczną kaskadą, orzeźwiając roślinność i mile pieszcząc oko. Trzecią prawie część parku zajmuje ogród angielski.

Ogrodów w Niemczech jest mnóstwo; — a chociaż pierwotnie były sadzone w stylu francuzkim, należą przecież do rodzaju malowniczych. Ustrój ich przypomina Kent'a i Le Nôtre'a — z pomiędzy nich Schoenbrun jest bezpośredniem naśladownictwem Wersalu lub Marly (1700 r.), i zachowuje zawsze swą fizyognomię klasyczną. Napoleon, chcąc przypomnieć Maryi Ludwice ulubioną jej altanę w Schoenbrun, polecił biegłemu rysownikowi Bertault'owi, urządzić jak najśpieszniej w parku Compiègne szpaler, długi na 1800 metrów, przedstawiający drogę kwiecistą i ocienioną, którą można było przebywać powozem.

Holandya pozostała wierną sztuce hołdującej porządkowi i cackom ornamentacyjnym, — sztuce, której aż do przesady nadał szersze rozmiary styl odrodzenia i Le Nôtre. Anglia, kształcąca się na wzorach swej własnej szkoły, śledziła zdaleka Włochy i Francyę. Wyznaje to ze szczerotą sam Addison: «W ogrodach angielskich, powiada on, nie ma cechy tej twórczości wyobraźni, jaką odznaczają się Francya i Włochy. Jednocześnie w tych krajach ogrodów z lasami, nadaje im pewną dzikość, nierównie ponętniejszą od poprawności i wytworności ogrodów angielskich. Nasi ogrodnicy, zamiast wspierać naturę w rozwijaniu jej czarów, starają się o to, aby jej przeszkadzać.»

(C. d. n).

KORESPONDENCYA.

Z nad Narwi, w lutym.

Kto uczęszczał przed rokiem na odczyty publiczne w Warszawie, ten przypomni sobie wypowiedzianą dźwięcznem słowem przez panią Elizę Orzeszkową rzecz *o wpływie nauki na rozwój miłosierdzia*. Mieszkaniec dalekiego ustronia, tylko z pism dowiedziałem się o tym odczycie, który teraz ogłoszony we Lwowie drukiem, nasunął mi przy ognisku domowem kilka uwag w tym przedmiocie, które do waszego zacnego pisma ośmielam się przesłać.

Podobno nikt nigdy nie przeczył, że nauka i wiedza potrzebne są do *umiejętnego* zaradzenia ogólnej nędzy i zużytkowania skarbów, płynących z dobroczynności serca ludzkiego. Są one więc *środkiem* pomocnym do osiągnięcia wielkiego celu, środkiem, który już przez ten sam swój charakter ma dostatecznie wielką doniosłość i szlachetne stanowisko. Jak nauka i wiedza nie mogą zastąpić ani uczucia miłosierdzia, ani cnoty miłości chrześciańskiej, tak to uczucie i cnota, potrzebują nawzajem pomocy nauki i wiedzy, do nasycenia pięciorgiem chleba zgłodniałej rzeszy. Miłość chrześciańska i płynące z niej miłosierdzie, tworzą w połączeniu z nauką i wiedzą, najwyższą harmonię czynu, do której dążą rozumne społeczeństwa. Rzecz to niezmiernie prosta i jasna. Nie pojmujemy więc wcale praktycznego celu rozbicia pojęć o tej harmonii, przez usunięcie cnoty i uczucia, gdzieś na plan drugi czy trzeci, a postawienie wiedzy na pierwszym. Nie pojmujemy tembardziej, że kraj nasz nie przedstawia wcale tej pożądanej harmonii, jak to zobaczymy poniżej.

Złote źródło miłosierdzia tryskające z serca, z miłości chrześciańskiej i tajemniczych prądów ducha człowieczego, płynie łożyskiem obyczaju narodów, i miewa często mały związek z książką i wiedzą. Ztąd pochodzi, że społeczeństwa jednakowej cywilizacyi, różnią się ogromnie pod względem stopnia uczuć miłosierdzia i miłości bliźniego. Ztąd pochodzi, że gdy Francya złożyła w krótkim czasie kilkadziesiąt milionów franków na mieszkańców dotkniętych powodzią w południowych departamentach, to Niemcy nigdy nie przestaną żałować, że od ludu francuzkiego wzięli tylko pięć miliardów haraczu.

Wedle pojęć naszego *bez oświaty* książkowej wieśniaka, zaparcie chaty przed żebrakiem równa się wielkiemu występkowi. Jałmużna, wedle niego, może być najmniejszą—ale daną być musi. Odmówienie gościnności przy ognisku domowem jest rzeczą niebywałą. Ubogi, kaleka istotny lub pozorny, młody lub starzec, w łachmanach lub dobrej kapocie, byle sakwami na krzyż owieszony, z równą otuchą przestępuje próg chaty wyrobnika jak sołtysa i najbogatszego kmiecia, a odmawiając pacierze zasiada bez pytania na ławie. Jeżeli zastał domowników przy obiedzie lub wieczerzy, to sadzają go przy stole i dają łyżkę w rękę; jeżeli nie, to ofiarują kawał chleba ukrojony z bochna zawiniętego, starym zwyczajem, w biały obrus i leżącego na stole. Nikt takiego podarku nie odmawia, choć nieraz żebrak dźwiga już potężne sakwy, srodze brzemienne bożym darem. Gdy dzień szczęśliwy lub świąteczny, to do skarbca dziadowskiego napływają i inne przysmaki; jeżeli zaś kaleka jeździ na wózku, to zaledwie stanie przed chatą i śpiewać zacznie, a już mu jadło wynoszą. Najbogatszy kmieć chętnie siada obok żebraka, zasięga jego rad lekarskich i słucha nowin, prosi o błogosławieństwo dla dziatwy.

Ale wcale inaczej bywa u kolonistów niemieckich, lub tam gdzie się trafi oficyalista albo dziedzic Niemiec. Biedni i kalecy omijają zdaleka ich domy z powodu psów zajadłych, drzwi pozamykanych, szturchańców i pogardy dla ubóstwa.

Obyczaj naszego ludu utrzymuje całe roty żebraków, w połowie wprawdzie prowadzących tułaczy żywot z rzemiosła i próżniactwa, nie z potrzeby, gdy tymczasem wśród kulturtregerów tu osiadłych, wszyscy kalecy prawdziwi poumieraliby z głodu. Widzimy więc, że zarówno potrzeba wiedzy u naszych kmieci, jak cnoty miłości bliźniego u naszych sąsiadów, natarczywie uczuwać się daje. Przeszło od pół wieku np. posiadamy już w królestwie Polskiem dobre przepisy rządowe do urządzenia w każdej gminie przytuliska i szpitala, dla utrzymania kosztem gminy wszystkich tej ubogich kalek i starców. Do wprowadzenia w czyn tych przepisów stoi głównie na zawadzie brak oświaty wśród ludu. Każdy bowiem kmieć woli codzień nakarmić dwóch żebraków, jak dać na rok kilka lub kilkanaście złotych na szpital i przytulisko, choć ten ostatni wydatek niezawodnie mniejby go kosztował. Ze wzrostem cywilizacyi więc nastąpi kiedyś reforma, i zobaczymy, że nauka i wiedza zmniejszą ofiarność dzisiejszego miłosierdzia ludu, jeżeli mniejsze środki umiejętnie użyte, wystarczą do zaspokojenia celu. Nauka hygieny czy medycyny opiekować się będzie każdym chorym, przyniesie ulgę kalectwu, urządzi wzorowo szpital i przytulisko. Wiedza spełni w ogóle tu swoje pośrednie przeznaczenie. Ale miejmy się na baczności i poczytajmy to sobie za obowiązek sumienia, aby lud nasz w sprawie miłosierdzia nie był wyzuty z uczuć i cnót chrześciańskich, i nie został oddany na zimną łaskę samej wiedzy i rachuby. Jedna tylko bowiem miłość ociera łzy sieroce, uczy cichego poświęcenia dla drugich i w kęsie darowanego chleba osładza gorycz jałmużny!

Z. G.

DROBIAZGI.

Bałwochwalcy w Irlandyi. Sam ten napis wzbudzi zapewne podziwienie w czytelnikach naszych, a jednak, [zaznacza on, niestety, fakt najrzeczywistszy, którego opis wyjmujemy z jednego z naukowych, antropologii poświęconych czasopism angielskich. Przy zachodniem wybrzeżu Irlandyi, dwie małe wysepki leżą cicho i smutnie wśród fal Atlantyckiego oceanu; imiona ich: północna i południowa Inishkea, co znaczy: «Wyspa cierniowa».

Mieszkańcami ich, oddzielonemi od całego cywilizowanego świata, rządzi król, który ma mieć przeszło 100 lat. «Jest to— opowiada sprawozdawca—bardzo miły monarcha, wielce od swoich poddanych kochany. Nie ma on ani dworu, ani pałacu, a dochody jego składają się z małego podatku, uiszczanego w rybach i kartoflach Domy ich, jeżeli je tak nazwać można, są to puste wewnątrz stosy kamieni, mułem obrzucone i sitowiem nakryte. W niejednej

z tych nędznych chat mieszka po ośm i dziesięć osób, pospołu z świnią lub kozą, a czasami z krową. Jeżeli materyalne położenie tych wyspiarzy jest opłakane, to smutniejszym jest jeszcze ich stan duchowy i moralny. Religia tych ludzi ogranicza się na czci oddawanej wielkiemu drewnianemu bałwanowi. Jest to z gruba wyciosana postać męzka, ośm stóp wysoka i w flanelową koszulę ubrana. Po długich zaledwie korowodach, dozwolono mi odwiedzić miejsce, gdzie tego bałwana przechowują. Była to chata nieco większa od innych, która wyspiarzom za miejsce odprawiania obrządków religijnych służy. Ponieważ wyspy te niczem nie osłonięte, wystawione są na burze i wściekłość fal Atlantyku, przeto zdarza się często, że mieszkańcy nie mogą wyprawiać się na połów ryb, i wtedy nastaje głód. Wówczas biorą swego bałwana, z płaczem i żalami zanoszą go na brzeg morski, padają przed nim na kolana i błagają go aby burzę uspokoił. Jeżeli burza ucichnie, jest to naturalnie zasługą bożka; jeżeli trwa dalej, to uważają to za karę przezeń zesłaną i odnoszą go napowrót do chaty.»

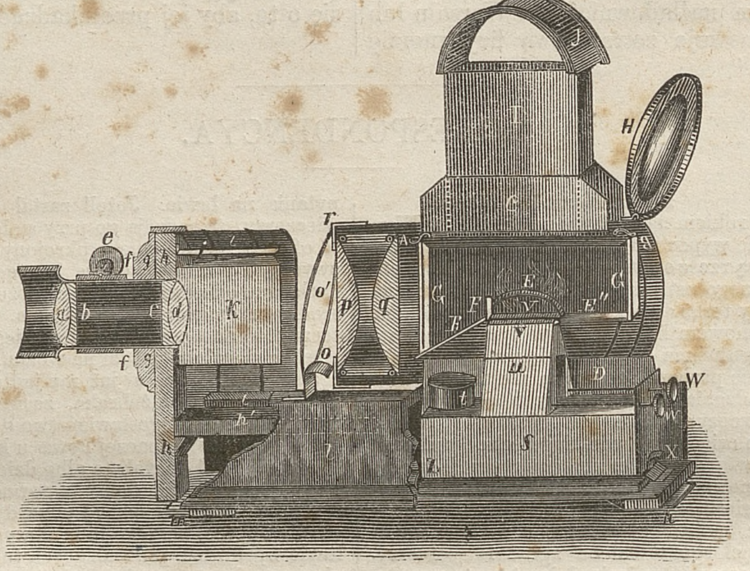
Biedni ci wyspiarze nie mają prawie żadnej styczności z resztą świata. Początek swój wywodzą oni od jakiegoś olbrzyma, który z pięknej i żyznej wyspy przybył na ich nędzną wyspękę. Wierzą też, że owa wyspa wzniesie się kiedyś z pośród fal i stanie się przybytkiem duchów zmarłych ich przyjaciół. Psy morskie, które u skalistych wybrzeży ich wyspy gromadnie się pojawiają, używają wielkiej czci między niemi i nigdy nie bywają zabijane, gdyż w tych psach dusze zmarłych krewnych wyspiarzy zamieszkują. Gdy kto umrze, stawiają latarnią przy zwłokach, które leżą przez trzy dni. Przez ten czas przyjaciele zmarłego modlą się do bożka o szczęśliwą dla niego podróż na ową wyspę rajską, o której wspomnieliśmy wyżej.

Przed kilku laty udał się na te wyspy pewien missyonarz, w chęci nawrócenia owych pogan irlandzkich. Chciał on apostolstwo swoje rozpocząć od zniszczenia ich bożka, czem taki gniew w wyspiarzach obudził, że zaledwie szybką ucieczką życie uratować zdołał.

Czyż to nie wygląda, jak gdybyśmy opowiadali o jakiejś wyspie na oceanie Południowym, a nie o wyspach o dwadzieścia cztery godzin drogi od Londynu oddalonych i pod berłem królowej Wiktoryi zostających?

Scioptikon. Pod tą nazwą wyrabia i sprzedaje p. Romain Talbot w Berlinie ulepszoną latarnię czarnoksięzką, służącą nietylko do rozrywki, lecz, co ważniejsza, do celów naukowych. Zwykłe latarnie czarnoksięzkie, niedokładnie wykonywane, oświecone bladym płomieniem lampki olejnej, dzieciom tylko dostarczają chwilowej zabawy. Wielkie natomiast i udoskonalone przyrządy tego rodzaju, oświecane płomieniem tleno-wodorowym lub światłem elektrycznem, są bardzo kosztowne i wymagają nader ostrożnego i umiejętnego obchodzenia się z sobą. Scioptikon usuwa te niedogodności: światła dostarczają mu dwie lampy naftowe, tak jasno płonące, że za ich pomocą można otrzymać wyraźne i dokładne obrazy, mające przeszło trzy łokcie średnicy. Dla użytku szkolnego ważną jest ta okoliczność, że przy użyciu scioptikonu, nie potrzeba gasić światła w pokoju (jak to ma miejsce przy zwykłej latarni czarnoksięzkiej), gdyż nawet kilka świec, byle umieszczonych nie zablizko płótna na którem odbijają się obrazy, wcale ich dokładności nie osłabia.

Podajemy obok drzeworyt, który objaśnia skład tego pożytecznego narzędzia: po lewej stronie widzimy dwie soczewki *a b*, połączone w jedną, a na górze kółko trybowe *e*, służące do wysuwania ich lub wsuwania w miarę potrzeby. Dwie drugie soczewki *c d* przyjmują odbicie obrazu umieszczonego w *O* i przesyłają je do pierwszych. Przyrząd śrubowy łączy tę niejako lunetę ze skrzynką *h h h'*, która wedle potrzeby może się wysuwać. Drut *O'* i blaszka *O* służą do przytrzymania ramki drewnianej, w którą się wkłada fotografie na szkle i obrazy. Dwie soczewki *p q* wzmacniają siłę światła i rozdzielają je równo na całą powierzchnią obrazu. Po prawej stronie widzimy skrzynkę z lampkami. *G G* są to tafle szklanne, zamykające skrzynkę z obu boków; *S* zbiornik nafty, którą się wlewa przez otwór *t*; knoty płaskie są umieszczone w *v v* i podnoszą się za pomocą śrubek *w w*. Sprężynka *x* służy do przytrzymania lamp, aby się nie poruszały w latarni, a za naciśnięciem jej, można lampy wyjąć. *H* jest to zwierciadło posrebrzane, czyli reflektor, służący do wzmocnienia światła. *C I J* są to części kominka, zastępujące szkło u lamp zwyczajnych używane.



Scioptikon.

Fabrykant scioptikonu postarał się o pozyskanie jak największej liczby obrazów, które zapomocą tego przyrządu pokazywać można. Zbiór ten, za współdziałaniem uczonych, malarzy i fotografów, powiększa się ciągle. Dotychczas gotowe i sprzedające się fotografie są następne: z zoologii, obrazów około 700; z anatomii, około 260; z botaniki, mineralogii, astronomii, technologii i t. d. około 350; widoków z różnych krajów około 1800.

O ile nam wiadomo, uniwersytet warszawski posiada scioptikon wraz z pewną ilością obrazów. Scioptikony są dwojakiej wielkości; mniejsze kosztują 135 marek,—około 45 rs.; większe 306 marek,—około 100 rs. Fotografie około pół rubla jedna, obrazy kolorowane, ruchome i t. d., od 1—3 rs. Pożądaną byłoby rzeczą, aby średnie zakłady naukowe mogły być zaopatrzone w scioptikony, których nabycie przechodzi możność wielu osób prywatnych; jest to bowiem dla wykładających bardzo pożądany środek pomocniczy, zapewniający wielkie korzyści słuchaczom.

Osobliwość literacka. W 1760 roku wyszło w Berlinie dzieło, p. t. «Geogonia»,—płód mozolnej pracy i uczoności Jana Izajasza Silberschlag, radcy konsystorza. W drugim tomie tego dzieła podaje autor tabellę chronologiczną, która zaczyna się w sposób następujący:

Rok stworzenia:	miesiąc:	dzień:	wydarzenia:
0	wrzesień	17	Rzekł Bóg: Niech się stanie światło!

Dowiadujemy się przytem, że światło stworzonem zostało koło wieczora (!), nad Azyą. Z niezachwianą powagą pisze autor w tejże tablicy, że Bóg stworzył Adama w roku «zero» dnia 22 września po południu. Czytamy dalej, że wedle najdokładniejszych wyrachowań, potop trwał od 7 listopada 1656 r., do 17 listopada 1657 r. po stworzeniu świata i wytępił 5,323,381,708 ludzi. Arkę Noego wymierzył autor tak dokładnie, że podaje, na ile stóp i cali była długą i szeroką. Wszystkie ptaki śpiewające: słowiki, skowronki i t. d., pomieszczone były nad kajutami Noego i jego rodziny, aby rozweselały ludzi swojem świegotaniem. Raj, podług pana Silberschlag, leżał na południu Mezopotamii, między 33 i 34 stopniem szerokości północnej; bardzo szczegółowy plan objaśnia czytelnika, że był to czworokąt na 18 mil długi, a na 15 szeroki. Wszystkie części raju są szczegółowo wymierzone i odrysowane; rozumie się, że i miejsce w którem rosła jabłoń fatalna, jest z matematyczną ścisłością oznaczone. Szkoda, że autor nie wskazuje źródeł, z których tak osobliwe czerpał wiadomości!

Korespondencya od Redakcyi.

Panu M. I. w B. na Pobereżu. Rs. 2 odebraliśmy. «Ognisko» regularnie się wysyła.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Redaktor i Wydawca **Jan Noskowski.**

Дозволено Цензурою, 9 (21) Февраля 1876 года.